



Stanisław  
Przybyszewski

**REQUIEM  
AETERNAM**

- Kultura i Sztuka -  
EXERIM.pl

# Stanisław Przybyszewski



## Requiem aeternam

### Trzecia księga Pentateuchu

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła  
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki [Exerim.pl](http://Exerim.pl).  
Zdjęcie na okładkę: Mirosław Kukła.

Exerim 2017  
0006-I | 2017-6 | V-PDF

# Requiem aeternam

## Trzecia księga Pentateuchu

Na początku była chuć. Nic prócz niej, a wszystko w niej.

To nieskończoność Anaksymandra, co wszystko z siebie wyłoniła, święty ogień Heraklita, który pochłania niknące światy i nowe byty z nich wyprowadza, Duch Boży, co się unosił nad wodami, gdy jeszcze nic nie było prócz Mnie.

Chuć to prasiły życia, rękojmia wiecznego rozwoju, wiecznego odchodzenia i wiecznego powrotu, jedyna istota bytu.

To siła, co sprowadza mieszanie się i rozdzielanie, twórczyni, pokarm i niszczycielka.

To siła, z którą Ja-Bóg, gdym świat ze siebie wyrzucił, atomy na siebie ciskałem, to zaciekłość, z jaką się z sobą sprzęgały, w pierwiastki się wiązały i w światy całe łączyły.

To siła, co w eterze się rozpałała pragnieniem, by morze swych fal rozkiełznać, jedną falę z drugą połączyć w wściekłym uścisku, wprawić je w rozkoszne drgania, rozszaleć je w podrywach krzyczącej lubieży, kurcze pragnienia ukajać w czołgających się dreszczach upojenia, aż się światło z nich porodziło.

To powrotna siła, z jaką się strumień elektryczny sam ze sobą spaja, drobinom pary od siebie odbijać się każe, — i takó¿ jest chuć życiem, światłem, ruchem.

I bez granic rozszalała się jej potęga. Stworzyła sobie tysiączne ramiona, którymi wszystko zagrabiła i w siebie wchłaniała, stworzyła tysiączne naczynia, lejki, otwory, potworne usta i narządy, by cały świat wssać w siebie, stworzyła sobie plazmę, by nieskończoną powierzchnią rozkosz w się wdychać, wszystkie siły życiowe skupiła, w jeden węzeł je w sobie spętała, swą wolą ujarzmiła, by jej tylko były poddane i wieczny głód jej żądz kołły.

I ciskała się w konwulsjach bezgranicznych porodów i wiecznych rozwojów, wczołgała się w bezliczne formy, rozbijała je jak skorupy, i w nowe łączyła ją, przetwarzała się w wiecznie nowych i odmiennych kształtach, a zaspokoić się nie mogła.

Szalała za szczęściem, gdy sobie trochita stworzyła, rzała za rozkoszą, gdy rozdarła pierwsze żyjątko i z siebie samej odrębną płęć stworzyła, by w wiecznej męce, gniewie a bólu znowu się łączyć i w wiecznych zmianach coraz to nowe kształty, nowe istoty, coraz wyższe, coraz doskonalsze wytworzyć, co by jakąś nową i doskonalszą orgią lubież jej nasycić mogły.

Aż wreszcie stworzyła mózg.

To było arcydzieło jej żadnego pragnienia. Gniotła go, kręciła, tworzyła zwoje, rozdzieliła i znowu połączyła bezlicznymi pasmami, pojedyncze części przeistoczyła na zmysły, rozerwała ciągłość, rozdarła całość na części, jeden zmysł rozczłonkowała na zmysły pojedyncze, rozcięła ich związki i więźby pomiędzy sobą, by móc jedno wrażenie odczuwać we wszystkich przemianach, jeden świat wchłaniać w siebie pięcioraką, tysiąckrotną rozkosz, a pierś matczyna, która kiedyś jedną siłę karmiła, tysiące sił teraz sycić musi.

Tak się dusza porodziła.

A siła wiecznych przemian i rozrodów ukochała duszę. Siliła ją karmnym mlekiem swej piersi, była dla niej tętnicą, przez którą krew wszechbytu silną falą się przelewała, tysiącem spójni przywiązała ją do wszechłona matczynego, była dla duszy ogniskiem soczewnym, przez które patrzała, zaklętym kołem, w którym krążyła i w powrotnych kołowaniach swą najwyższą rozkosz i najwyższy ból odczuwała, była objętością, w jakiej się świat cały jako dźwięki, barwa, ruch w duszy przeobrażał.

O biedna, głupia чуć, o biedna, niewdzięczna dusza.

Чуć, co światło z siebie wyłoniła, wszystkiemu życiu początek dała, duszę stworzyła, miała skonać w miażdżącym uścisku zdradliwego dziecka.

Co miało być środkiem, stało się celem dla siebie, władcą i panem.

Spoisty granit mego bytu począł się rysować i kruszyć.

Zmysły, które miały posłużyć ku doskonalszemu doborowi płciowemu, by nowy i doskonalszy rodzaj wytworzyć, poczęły być samoistne, jęły się z sobą łączyć i pętać nierozzerwalnie. To, co było górą, stało się dołem, dźwięk — barwą, środowisko — objętością, powonienie — wrażeniem mięśni, porządek — anarchią i rozpoczęła się wściekła walka pomiędzy matką a dzieckiem.

Pomnę, pomnę tę rozpaczłą walkę biednej matki z swym dzieckiem.

Chciała je opanować, ujarzmić; wpiła swe szpony matczyne w jego ciało, szarpała je, nęciła rozkoszą, syciła lubieżą i żądzą, rozpościerała obrazy najwyuzdańszej rozpusty, rzuciła je w namiętne, krzyczące uściski rodzącej bestii, ten jeden wielki narząd płciowy — zalewała mu oczy nawrotami krwi,

ogłuszała go hukiem jej spienionych fal, głos jego obniżała do dyszących, bezdźwięcznych rzeżeń, to znowu wściekłych krzyków i zgrzytów, kurczyła jego mięśnie, a poprzez ciało puszczała gorące drgania gdyby stado czołgających się żmij – ale wszystko, wszystko na próżno.

Ale krwawą ofiarą okupiła dusza moja swe zwycięstwo.

Chorzała, więdła, schła.

Sama się oderwała od matczynego łona, sama przecięła tętnice, sama zatamowała źródło swej mocy.

Żyje wprawdzie – żyje jeszcze treścią siły, którą pożarła, przetwarza jeszcze w sobie środki, które do doboru i rozrodu służą, może jeszcze upajać się obrazami, które żądze drażnią, może w sobie wywołać ekstazę śmiesznego okłamywania się chuci, co mniema, że może kobietę stopić w sobie, ale wszystko, co sama tworzy jest zbytkiem, tak jak sztuka jest zbytkiem i nadmiarem pragnień rozrodczych i jest bezpłodną, czym sztuka nie jest, bo bije w niej olbrzymi puls drgającej chuci, nasienny golf światła i żądry ciągłych powrotów.

Ale choć zginać muszę, kocham tę straszną potężną siłę, co jedyną kosmiczną potęgę zmogła, ją w siebie wchłonęła, kocham moją duszę, moją wielką umierającą duszę, co mi chuć pożarła, by bez niej umrzeć.

A więc muszę umrzeć, bo źródło światła wyschło, bom ostatnie ogniwo w nieskończonym rozwoju formacji, w jakich się chuć w coraz to nowych zamianach przetwarza, bom jest pianą, orkanem burzy w miazgę rozbitą na grzebieniu ostatniej fali płciowego rozwoju, fali, co się już o brzeg rozbiła i żółty piasek jego białym haftem obszywa.

Muszę umrzeć, bo dusza moja za wielka, za przemożna, by mogła porodzić nowy, szczęściem rozlśniony, jasną przyszłością drgający dzień.

Ale kocham, kocham zamarłą chuć, której resztki dusza ma strawia, kocham ostatnie krople krwi mego istotnego bytu jako mąż i rodziciel, tego bytu, w którym się istotność cała przejawia w całej swej potędze, swym majestacie i okrucieństwie; kocham tę odwieczną siłę, co moje wrażenia słuchowe zabarwia niepojętymi barwy, z wrażeń powonienia rozsnuwa rozkoszne obrazy, a z uczuć dotyku wytwarza niewypowiedziane rozkosze wizji.

I kocham moją chorobę i moje szaleństwo, co się w coraz to nowy a dzikszy system przybiera, coraz wyszukańszym szyderstwem sieka i kpi, i drwi z siebie i z świata całego.

\*

Jestem zupełnie spokojny – i bardzo, bardzo zmęczony.

Tylko w głębi, gdzieś w dalekiej głębi coś mnie boli. Coś szuka równowagi albo też wije się w skurczu ostatniej agonii.

Coś zniknęło w mej duszy, ów mistyczny punkt, ku któremu wszystkie siły zacierają. Zdaje się, że potworzyło się tysiące ognisk sił i to, co było jednolitym, rozpadło się na tysiące skorupki.

Myśli moje jakby ode mnie nie zależały. Przychodzą i idą same ze siebie bez związku, niczym niekietznane.

Niektóre wydają mi się w kształt czerwonych łun wzdłuż fioletowych glorii, co okalają głowy świętych, tak jak się widzi interferencje gazowych

latarni poprzez ściekający na brudnych szybach deszcz — a wszystko niktę, słodkie i miękkie.

Niektóre widzę w kształt nieskończenie wydłużonego promienia światła, co padł na pomarszczoną toń rzeki. Gdzieś w dole odbija się złotym połyskiem, połamany i rozstrzępiony w miliardy świetlnych plamek, co się na drobnych falach kotyszą, zlewają, całują w nieziemskiej czystości i żarliwym nabożeństwie.

Niektóre wyrastają do olbrzymich, potwornych rozmiarów.

Mózg mój, przyzwyczajony dotychczas do europejskich wymiarów, obejmuje teraz przepotężne masy świątyń z Lahore, parzy egipskiego sfinksa z chińskim smokiem, pisze potwornymi głazami, z jakich piramidy budowano, a myśli w pełnym, ważkim i królewskim sanskrycie, w którym każde słowo jest żyjącym organizmem, co się za pomocą jakiejś mistycznej pangenesis stał istotnym, pełnym krwi i żaru: słowo dla nas niepojęte, synteza z logos i Kâma, słowo Jana, co się ciałem stało.

A wtedy z dziką rozpustą rzucam się na oślep w przepastne czeluście przestrzeni i czasu.

Jestem królem asyryjskim z niebosięgną tiarą na głowie, strojny w bisior, brokat i purpurę.

Na mej piersi słońce z diamentów, uginam się pod ciężarem kosztownych brył drogich kamieni i na wozie brzytwami najeżonym, pod którym krwawym pokosem padają miliony niewolników, gdyby snopy zejrzałego żyta, jadę ponad śmieszny nędzą świata z straszną pogardą, nienawiścią i groźnym majestatem.



Och, kocham olbrzymi a milczący majestat babilońskich mocarzy, co słowa nie znosił, bo słowo było drogie i kosztowne, i straszne, a każde z nich trzeba było okupić bolesnym porodem.

Och, kocham naiwną, ale tytaniczną samowiedzę swej potęgi, ono poczucie siły, co bogom się odgraża, morze chłostać każe, a w nieznane kraje wiezie z sobą okowy, by ludy całe w jasyr zawlec.

Och, kocham hardą pogardę dumy, z posiewu smoczych zębów porodzoną zaciekłość biblijnego człowieka, co w oczy okrutnemu Jahveh z rozszalałą wściekłością bryzga pierwsze przekleństwo: Szatanie — Jehovah, — co głązy z ziemi wyrywa; by je ku niebu rzucić i roztrzaskać spiżową skroń straszego mordercy, który własne, przez siebie stworzone plemię siecze za grzechy przez siebie wszczepione.

Czuję, jak mi źrenice oczy zalewają, jak ciało moje wydłuża się, rośnie, potężnieje, piersi podwójną mocą się rozpierają, a na oblicze moje spływa święta powaga i cisza boskiego Mitry.

A otóż nadchodzi przepotężna chwila, w której odczuwam wrażenia, jak gdybym był rozpostarty nad całą ziemią, w której święcę w sobie niepojęte święto odrodzenia wszystkich narodów i ich kultury, chwila, gdzie jestem na kształt onego bóstwa starego Ksenophanesa, w którym wszystkie zmysły się przenikają, a wszechświat się do duszy zlewa nie przez zmysły rozczłonkowany, ale w całej swej nierozzerwalnej jedności.

A gdy przestrzenie uciekać się zdają, a wszystko się w jakieś odmętne przepaści zwała jak w lej, gdy się ciężki kamień w wodę rzuci — gdy nie wiem, czy istnieję i stracę panowanie nad zmysłami — gdy tysiące lat powrotną falą przez mózg mój się przeleją, a ja na chwilę odczuwam się w całej przemożnej nagości mego bytu i z powrotem odzyskuję moją siłę rozrodczą, tak że staję

się atomem, co sam siebie zapłodnić pragnie, kiedy krew wszechświata pieniącą się strugą leje się w żyły moje – wtedy odczuwam nieskończone, bezgraniczne szczęście, szerokie i głębokie jak atmosfera, co nad światem zaległa.

Rozumiem dobrze, że koniec nadchodzi. Wiem, że to już ostateczny rozkład uczuć i myśli. Ale cóż mnie to wszystko obchodzi!

Pragnę, by koniec nadszedł.

A chociaż się uczucie od woli oderwało, chociaż wszystkie stany duszy mojej tylko do połowy dojrzewają, skłębiony chaos myśli, podarta sieć uczuć, bez siły przetworzyć się w akt woli – i cóż z tego?

Za to rozkoszuję się niesłychanym cudem olbrzymiego światopoglądu.

Ja, jako ja, istnieję tylko w uczuciu, znam siebie w uczuciu, a czy ono stanie się wolą, to już mnie nic nie obchodzi.

Nie znam nic prócz moich wrażeń, a przede wszystkim nie znam żadnej przyczynowości, li tylko nieskończoną ciągłość wrażeń – a czy pasmo tej ciągłości logicznie się rozwija, czy nie, to również mnie nic nie obchodzi.

Jestem ponad wszystkim. Chwilami zdaje mi się, że mam rodzaj jakiegoś nadmózgu, patrzę na czynność, na tę biedną mozolną pracę mego mózgu – patrzę przez mikroskop, a gdy zachodzi potrzeba przez teleskop, a w bezgranicznej potędze tego nadmózgu, zdaje się, wolno mi mniemać, że wszystko jest snem i ciężką zmorą, że cała ta tak nazwana rzeczywistość jest też tylko pewnym rodzajem snu, a moje Ja dla mnie tak samo obcym i niezrozumiałym jak dla Was.

I dla Was, dla Was, którzy może wcale nie istniejecie, a może tylko jesteście sennym majakiem mej duszy bezpłciowej – dla Was, biedne dzieci samicy Ewy – Ja – Pan miałbym żyć?!

He, he – może dlatego, że muszę spełnić pewne obowiązki względem człowieczeństwa, do którego przecież zaliczać się muszę?

Rassurez-vous: kocham Was, kocham Was wszystkich.

I Was, którzy nie macie więcej znaczenia i większej wartości od zwykłego argonauty, co w chwili płciowego rozpędu odrzuca swe narządy płciowe od matczynego ciała, które samodzielnie szukają samiczki, którą by mogły zapłodnić.

Was, podbudzonych ustawicznym podrażnieniem płciowym, Was artystów, co tylko Wasze ideały rozkoszy i żądz odtwarzacie. –

I Was, wiecznie chciwych, zapracowanych, żądnych bogactw i dóbr, by tylko byt zapewnić Waszym rozmnożonym spermatoцитom – a nazywacie to miłością do osobistej nieśmiertelności. –

I Was, bezmiernie rozrzutnych – bo w Waszej głupocie tkwi olbrzymi rozpęd i nadmiar sił płciowej natury, co miliony spermatoцитów potrzebuje, by zapłodnić jedno głupie jajko samiczki.

O, kocham Was wszystkich i żal mi Was, i pogardzam Wami, że żyć musicie, że jesteście tylko nawozem, co użyźnia nową przyszłość, że jesteście środkiem i organem wiecznej chuci, a okłamujecie się obowiązkiem i miłością dla ludzkości.

Ja jestem sam dla siebie.

Jestem początkiem, bo noszę w sobie rozwój jestestwa od samego początku i jestem końcem, ostatnim ogniwem rozwoju.

Sam jeden z moimi uczuciami.

Wy macie jeszcze jakiś świat zewnętrzny, ja nie mam żadnego. Mam tylko siebie.

Głowa mi pęka: zdaje mi się, że jestem jakąś potworną syntezą Chrystusa i Szatana, sam siebie stawiam na wysokiej górze i prowadzę się w pokuszenie i sam siebie pragnąłbym omamić.

To znowu kojarzy się we mnie rozkosz upojonej ekstazy z zimną obrachowaną analizą, czasami wierzę ślepo, męczenniczo, jak pierwotny chrześcijanin, a równocześnie wyszydzam wszelką świętość, jestem zarówno mistycznym anachoretą i wściekłym zszatanizowanym kapłanem, co najświętsze słowa i najohydniejsze bluźnierstwa równocześnie z pianą na ustach bełkocze.

A teraz mam wrażenie, jak gdyby się na niebie rozlała przerażająca powódź czarnoczerwonej krwi, a w uszach straszliwy, nerwy przerywający zgrzyt, jak gdyby ktoś rznął rzaszką płyty szkła —

O qualis artifex pereo!

\*

Jesteś jak słaby, cichy, srebrny promień światła, który wyblęsnął z jakiegoś

okienka dalekiej chaty i rozlał się w ciepłej nocy jesiennej na łąki, ponad mokre, miękkie zgłto mgieł, co sennym, rozkoszy sytym zmęczeniem bezmierne obszary traw zaległo.

A nad srebrzącą się przestrzenią mgieł kotysze się światło, gdyby wahająca się, rozwiewna fala; jak dźwięki mosiężnych dzwonów, gdy się z dala rozlegną na Ave Maria, płynie czyste, złote, gasnące i długo jeszcze przebrzmiewa, i leje się w duszę zmęczonym, chorym spokojem.

Jesteś jak niebieska godzina świtu, kiedy wschód różowieć poczyną i światło z siebie wydycha. Cały świat się syci niepojętą tajemnicą zmartwychpowstania, tonie w niebieskiej błogości nieba, rozlewa się w topieli zimnej, roztopionej stali damasceńskiej, a naraz rozkwituje łuną szerokiego, palącego się morza fioletów i purpury, a w to morze tajnego barw przepychu wrzynają się ostre słupy promieni wschodzącego słońca.

A wszystko głębokie, niebieskie i święte.

Wokół Twoich oczu odblask w kształt protuberancji przy zaćmieniu słońca, a w otchłań mej duszy wchłaniały się gdyby dwie gwiazdy w rozpaczłą czerń wichrowatych nocy jesiennych.

Wokół Twych ust delikatne, miękkie linie, wtedy gdy się do pół-uśmiechu roztwierają – zdaje się, że widzę rodzime jezioro i pomnę szklistą, cichą powierzchnię i przebłyskujące w oddali koliste linie, gdym wiosłem o nią uderzał.

Dźwięk Twego głosu spływał w mą duszę, jak gdyby go wiosenne wiatry przewiały przez zielone morze i słyszę, słyszę go jak morze cichego światła, przetworzone w atmosferę dźwięków, co mnie owiewa nieskończenie lekkim, miękkim drżeniem.

Gdym Cię po raz pierwszy widział, zdało mi się, że ujrzałem naszą duszę w jej całej nieznannej, tajemniczej nagości.

Byłaś dla mnie objawieniem mej najczystszej zjawy: w Tobie rozwiązała się zagadka najtajniejszych snów i widziadeł mej tęsknoty za pięknem – za sztuką.

Z jednego łona wykwitliśmy gdyby dwa czarodziejskie kwiaty, co noc jedną tylko kwitnąć miały, i z tego samego źródła trysnął strumień, co się przez ciebie i przeze mnie tą samą falą przelał.

I byłaś pierwotnie moim jedynym ideałem płciowym, byłaś mną, a ja tobą, mieliśmy dokonać święte misterium, by stworzyć nowy, szlachetniejszy, doskonalszy rodzaj ludzi, ale kiedy dusza ma zdusiła chuć we mnie, kiedy się tak rozwieliżmożniła, że rozpęd rozrodczy usechł i zwiędł jak łodyga kwiatu w wilgnej cieni, mogłem Cię tylko pić oczyma, głaskać dźwięk Twego głosu, a wzdłuż nerwów moich czuć spływanie rozwiewnych linii twego ciała, ich nieskończoną miękkość i rozkosz.

A tęskniłem za Tobą, tęskniłem.

Zawsze i wiecznie tęskniłem za Tobą, za tą chwilą, w której byliśmy jedno, nierozzerwalnie jedno, tęskniłem za tą chwilą, kiedym Cię ze siebie wyłonił, kiedy kształty mego ducha układały się w linie Twego ciała, drgania mych nerwów lały w Cię życie, kiedy stałaś się istotą mego ducha, jego treścią w ciało przeistoczoną.

Kocham Cię, jak zachodzące słońce kocha łany pszeniczne w parnych zmierzchach lata, ostatnimi, krwawymi promieniami; niechętnie odchodzę od Ciebie, jak słońce, co się z ziemią żegna z bólem i z żalem, że nie będzie mogło widzieć świętych tajemnic nocy.

Tajemnicę nocy i otchłannych przepaści – w Tobie, w Tobie chciałem ją ujrzeć. Szukałem jej rozpalonymi, męką dyszącymi palcami; gdyby ostrza lancet wcinałem je w głąb Twojej duszy, ale znikająca, usuwała się, wabiła mnie, a gdym sięgał głębiej, zaprzepadała się.

Duch mój, z którego powstałaś, którego kształtem i ruchem żyjesz, wił się w bolesnej rozpacz, by Cię od nowa wssać, w siebie roztopić w swych żarach jak kawałek metalu – Ciebie zagubioną, oderwaną połowę.

Obcą mi jesteś, bo tylko to mogłoby Cię rozpoznać, co we mnie jest martwe: a ja Cię tylko kochałem moją duszą – moją chorą sceptyczną duszą, co zapomniała samicę w Tobie, a widzi tylko poddaną służebną i niewolnicę.

Ale kochałem Twoje kłamstwo, boć i dusza ma kłamliwa.

Ale podczas gdy Twoje kłamstwo mogło, co najwyżej, parę głupich mężczyzn uwieść i mamić, stworzyło kłamstwo moje naukę, odkryło nowe światy, wyłoniło z siebie poezję i zmusiło ludzkość wejść na nowe ścieżki, otworzyło jej nowe tory i drogi.

Kocham Twoją zbrodniczość, bo sam jestem zbrodniarzem.

Ale podczas gdy Ty, w Twojej zbrodniczej chuci, mogłaś się stać nierządnicą lub dzieciobójczynią, ja, zbrodniarz, napisałem nowe tablice, wyryłem nowe przymierze z nowym bogiem, zniszczyłem stare świątynie, by nowe pobrać, skreślałem z karty ziemi narody całe, ziemi jelita powyrywałem: Ja – tak Ja, nigdy niesyty, odwieczny zbrodniarz, twórca dziejów, duch rozwoju niszczenia i tworzenia.

Kocham, gdy czuję, że rwiesz się ku mnie, że chcesz spełnić słowo

przeznaczenia; Twą chucią rozwiązałaś zagadkę mego bytu, wytłumaczyłaś moją istotę mnie samemu.

I to Twoja przewaga.

Toć to to, czego uczynić nie zdołałem.

I takż kocham Twoje kłamstwo i Twoją zbrodniczość, bo jedno jakoż i drugie są tylko pomocniczą funkcją Twej płci, nią uchwyciłaś we mnie duszę wszechświata, szarpałaś, budziłaś ją, by ujarzmić ją dla nowej przyszłości, co z Twego łona wykwitnąć miała.

Przed oczyma moimi rozpościera się zjawia straszliwej męki, którą z Tobą przeżyłem.

Pamiętasz, kiedyś się w pijanym szale Twej rozszalałej chuci wplatała we mnie głęboko, och tak boleśnie głęboko?

Gdzieś z dołu dolatywały nas dźwięki jakiejś pijanej muzyki – poprzez zieloną, gęstą umbrę dźdżyło słabe dogorywające światło – i wtedy czułem jak drgania Twego ciała udzielały się memu, jak się wwiyały węzowym czołgiem w krew moją, jak serce w coraz to mniejszych odstępach bluzgało prądy krwi w tętnice, a w mózgu zadrżały dawno, dawno już nietręcane struny.

Była chwila, żem uczuł szczęście.

Wsluchiwałem się w bolesne natężenie, z jakim się zbierały, łączyły i skupiały płciowe pierwiastki w mej duszy, z rozkoszą czułem, jak się poprzez ciało moje przewinęły zimne dreszcze – czułem, jak krtań się ścisnęła i z trudem



wykrztuszała słowa miłosne, samowiedza ma traciła siłę i coraz słabiej odróżniała jawę od snu – ale naraz ułożyło się Twe ciało w pospolitą, bezwstydną linię i w jednej chwili załamało się wszystko we mnie: znowu mózg pochwycił szatańskimi szpony tworzącą się chuć i zdusił ją.

A tyś leżała, zebrałaś Twą żądzą – milcząca, z zawartymi powiekami.

A jam się śmiał – śmiałem się cynicznie, dziko, z całym strasznym, dzikim bólem – śmiałem się, że myślałem, iż mi wszystkie żyły w mózgu popękają.

Biedne dziecko. Twe łono matczyne Cię oszukało – innego męża trzeba ci było odnaleźć, instynkty Twe płciowe ku innemu zwrócić.

Ale uspokój się: ujrzałaś tajemnicze Saïs mego życia.

\*

Życie moje zawdzięczam mieszanemu małżeństwu pomiędzy chłopem protestantem a panią katoliczką, która należała do zubożałej, arystokratycznej rodziny.

Gdy wspomnę wstecz, widzę ustawicznie smagłą, delikatną kobietę z nieskończone słodkimi rysami, coś, co by Carlo-Dolce z rozkoszą malował. Pomnę, pomnę te rysy, w których całe stulecia najprzedniejszego doboru płciowego i najwyszukańszego wydelikatnienia wyryły niezatarte piętno.

Wiem, że ojca nie kochała. Wiem, że poszła za niego, by nie potrzebować służyć u swych równych. Nawykła w nieskończonej męce oddawać się jego chuci, a w głębokim płciowym wstręcie, w strasznym oburzeniu krwawiącej się duszy zemstą dyszącego, zgwałconego ciała zostałem spłodzony.

Od samego początku wstyd – wstręt – obrzydzenie.

Jak daleko wspomnienia moje sięgają, odczuwałem się zawsze jako coś, co wyzbyło się wszelkiego związku, stoi w przeciwieństwie do siebie samego, coś, co jest zlepione z najróżnorodniejszych pierwiastków i zawsze czułem w sobie jakąś piekielną siłę, co wolę moją obezwładniała, a wciąż i ustawicznie zmysły me drażniła.

Zawsze było coś we mnie, co się żadną miarą z resztą stanów duszy skojarzyć nie chciało. Różnorodne uczucia nie łączyły się z sobą, ale leżały obok siebie w chaotycznej niezgodzie – maleńkie złośliwe diabliki stały naprzeciwko siebie, by ustawicznie sobie najkrwawszym szyderstwem w oczy bryzgać.

Matka było to olbrzymie geologiczne agens, co wszystkie powstające pierwotwory mej duszy przesuwiała, na kant je kładła, kruszyła, nowe i potworne połączenia tworzyła, a w świeże bruzdy mej duszy siała trujące ziarno szaleju.

I to jadowite nasienie stało się ogniskiem zarazy, z którego wykwitły chorymi a bogatymi pękami kwiecia bagniste rośliny mej duszy – bo to co we mnie zasiała, to było jej własne niezaspokojone pragnienie, jej wieczna płciowa tęsknota, to ten straszny przełom w niej samej pomiędzy duszą a jej spragnionym łonem – i to, otóż to, że dusza jej musiała wypluć jej chuć, bo przecież oddawała się mężowi, którego nie kochała.

I tak czuła się pogwałconą, duszę widziała w błocie stratowaną i w dzikiej rozpaczce targaną się i szarpała za czymś tkliwym, czystym, wniebowziętym i bezpłciowym.

I ta bezpłciowość w niej samej, a raczej pogwałcone pragnienie jej silnego, żadnego ciała wytworzyło jakąś bezpłciową atmosferę poza nią, coś, naokoło

czego wszystkie jej uczucia krążyły jak wokół kosmicznego jądra.

A chociaż z wolna namiętność i żar jej tęsknoty osłabły, a wielki żal, który tę tęsknotę ożywiał, zbladł i osłabł, zawsze pozostało w jej duszy coś, czego pochodzenia nie umiałaby określić, a co straciło zupełny związek z jej przeszłym życiem.

I tą nieokreśloną tęsknotą przesycała moją duszę – wiała ją w każde włókno nerwowe, wbiła ją jak graniczne słupki w objętość zdolności mej odczuwania, i ona – ona to zrobiła mnie tak wstydliwym, tak chorobliwie przeczulonym i tak bezgranicznie cynicznym.

Ona przepoiła mnie wstrętem i obrzydzeniem ku wszystkiemu, co jako płęć się objawia, i ona rozluźniła, a wreszcie stargała związek między moją duszą a chucią moją i ona – och straszna ona, pogłębiła w związku rozłam, jaki już dziedziczny charakter moją duszę z równowagi wytrącił.

Od dziecka uczuwałem się jako chłop z swoją prawością, naiwną chytryością pragnieniem cichej, bezbarwnej zadumy, w jakiej tkwią stulecia protestantyzmu i krwawej, potem oblanej pracy.

Ale obok chłopca, co stulecia całe razem z wołem w tym samym jarzmie ciągnął pług po kamienistej glebie, co się przed panem swym giął w dwoje, którego ręce bolączkami nabiegły i stopy się rozrosły, żyje we mnie dumny arystokrata, którego ojcowie przywędrowali z stepów świętego Iranu w europejskie niziny i ujarzmili głupich tubylców – przebiegły arystokrata z bezgranicznym bezwstydem i cynicznym kłamstwem panujących – arystokrata z wydelikatnieniem cieplarni, które tylko stulecia najdoskonalszego doboru, panowania, przepychu i lenistwa wyhodować mogą.

I tak musiały wreszcie te wszystkie sprzeczne pierwiastki rzucić się na siebie – musiała się wojna rozpocząć – musiało się we mnie uczucie od woli oderwać, a wola, pozbawiona motorycznej siły, obezwładnić musiała.

Nigdy nie było we mnie ani miłości, ani skupienia.

Jestem wyrazem odśrodkowiska, wyrazem zniszczenia i rozwiązania.

Jestem szatańską Walpurgis – nocą rozwoju, straszne Mene-Tekel, w którym kona mój czas w ostatnich spazmatycznych podrygach.

W każde włókno nerwu wżarł się zarazek tego rozłamu mej duszy, w podwójny strumień rozdzielił każde moje wrażenie: bo każdy stan mej duszy bólem i rozkoszą zarazem.

Wżerają się w siebie, chciałyby się przemóc, zgryźć się wzajemnie, ale uczucie bólu zwycięża.

Zaledwie odczuwam delikatne podrażnienie rozkoszy, a już tętni i wali młotem ból, aż nagle rozgrywa się cała orgia, w której rozkosz obłędem się staje w jadowitych kąsaniach bólu, orgia dzikiego rżenia wściekłego ogiera i cichego, szydzącego uśmiechu potwornej hermy głowy Lucyfera, zlepionej z zwycięską twarzą Archanioła Michała.

I ten piekielny rozłam, te wszystkie przewrotne instynkty wezmę sobie teraz ku pomocy.

Wypędzę leniwą bestię mej chuci z jej nory, do białą rozpalonym żelazem mego pragnienia przypalę jej krzyże, wbiję jej ciernie mego bólu w stopy, że ryczeć i tańczyć się nauczy – tańczyć – na miły Bóg – tańczyć się nauczy!

Obrazami, które moja zimna, wydoskonalona rozpusta porodziła, będę ją drażnił, smagał, siepał, aż znowu poczuję, że jest mąż z ziemi porodzony – ja biedny męczennik Twego przepychu, ty biedny, młody mózgu.

\*

Mój mózg posłałem na zielone pastwisko, na bezpłodne torfiska mej ziemi rodzinnej, a teraz jestem skupieniem, skojarzeniem się wszystkich sił ze sobą, ich równowagą i syntezą.

Spoczywasz w mych ramionach, – a jest noc.

Całujemy się, że tchu nam braknie, że stapiamy się ze sobą i stajemy się jedną istotą.

Wpijam me rozżarzone usta w Twoje piersi, aż serce me się rozpiera od szczęścia, tak mocno upragnionego, tak silnie utęsknionego. Przytulam Twe smagłe ciało krwiożerczej samicy tak silnie do mego, że czuję bicie Twego serca na mej piersi i mogę liczyć jego uderzenia, że strumień krwi, co się w Twym ciele rozszalał, moje własne ciało w pieniający szwał smaga, a Twe drgania rozkoszy gorącymi wężami mnie przebiegają.

Wgrzebuje się w Ciebie, czuję jak się Twe wiotkie członki pienia w upojeniu krzyczącej lubieży i podrywają się w bolesnym erotyzmie rozkoszy.

Silniej – głębiej – mocniej – och! mógłbym tylko pochwycić Twą duszę – wssać się w każdą szczelinę, myśli Twej pochwycić, Ciebie – Ciebie nagą istotę, odzianą nędznym łachmanem ciała – chwycić Cię teraz w rozszalałej farsie mego pragnienia, w dyszącym Hallelujah mej lubieży!

A teraz stałem się ucieleśnieniem słowa, teraz jestem przepotężną chucią, co wszelkiemu rozwojowi początek dała i go w nieskończoność prowadzi, jestem węzłem przeszłości i tego, co przyjdzie, jestem pomostem do nieznanego Jutra, rękojmią nowej ewolucji i wiecznego powrotu.

Teraz już nie uczuwam żadnej męki. Ssę Twoją duszę — wsysam ją w siebie i w tej spójności dusz i ciał, w tym stopieniu się mego bytu z Twoim, w tym wzajemnym przenikaniu się naszych uczuć myśli i pragnień, w tej nadludzkiej, bezwzględnej, niebosięgłej wolności płciowej, co pragnie nowej przyszłości i nieśmiertelności, pochwyciłem drżącymi, dyszącymi palcami to, czegom dotychczas schwycić nie mógł.

Ha, ha, ha, ha...

Znikło, rozbiegło, rozprysło się!

Jak żywe srebro rozpyliło się przy moim dotknięciu; — a Ty tu przy mnie — tu leżysz w Twojej boskiej nagości, w bezwstydnym Twego żarnego pragnienia, a oczy moje patrzą na Cię jak na coś obcego, dalekiego, tysiące mil ode mnie odległego — i patrzę z strachem w przepaść Twoich oczu — przepaść, która może nawet nie jest powierzchnią.

Ale nie, nie — niech piekło niebo pochłonie — ale nie — nie!

Z drgającą, mózg chłonącą namiętnością, z całym piekielnym żarem gorączki, co duszę mą w szal smaga, z dziką siłą mych rozkoszą zmężniałych sił rzucam się na Ciebie, nie chcę nic czuć prócz bladej gorączki Twych członków, nic słyszeć, jeno wściekłą pogoń mej krwi, i nie chcę mieć innego wrażenia, prócz tego rozpalonego, szpilującego bólu naszego delirium miłości. — Przeszanę cierpieć w zwycięskich dytyrambach chuci, wyjąłym pienieniu się straszliwej symfonii ciała.

I powiedz, — ach powiedz mi, jak mnie kochasz! Powiedz w pragnących drganiach Twego ciała, wpal w usta moje, weźryj w członki me, wpij we mnie to gorące, rozpustne, upojone:

Kocham Cię!

Powiedz, powiedz mi — jak mocno — jak głęboko — jak strasznie mnie kochasz?

Jak — jak kochasz mnie?

Ha, ha, ha, ha —

Nie potrzebuję Twojej miłości. Czego pragniesz? czego chcesz ode mnie? Niczego Ci dać nie mogę — co wiąże nas razem? — nie wiem nawet, co mam z Tobą począć!

Wstań; ubierz się; ha, ha — jak ja mój wielki mózg podziwiam, co jest jeszcze w stanie uscenizować taką biedną miłostkę dorastających młodzieńców...

Ofelio, idź do klasztoru!

\*

Na dnie mej duszy spoczywa straszna, przerażająca tajemnica, okropne wspomnienie obłąkanej, piekielnej mszy rozpaczy i szału, mszy, w której ma chuć w śmiertelnych kurczach skonała, kiedy po raz ostatni była  $\alpha\beta\gamma$   $\delta\epsilon\zeta$   $\eta\theta\iota$   $\kappa\lambda\mu$  i cały mój byt z zawias wyważyła.

A teraz zdradzę straszną tajemnicę, wściekły tryumf epileptycznej chuci, raz jeszcze przeżyję wszystko w takiej potędze, jakby się to było dziś stało, raz jeszcze będę się sycił obłąkaną rozkoszą chwili, w której byłem wampirem i raz jeszcze się stanę przepotężną chucią, co z mózgu mego zrobiła sobie śmieszna zabawkę.

Nie wiem, sen to był czy jawa, nie wiem, czy to był tylko majak jakiegoś urojenia, może odbicie obrazów, odziedziczonych i w głębi mej duszy ukrytych. Linie dnia spływają z linią nocy, nad jasnym południem zawisła krwawa tarcz miesiąca, a w wodzie przepastnej studni widzę na jasnym dniu odbicie miliona gwiazd w północnej ciemni.

Pomnę: siedziałem bez ruchu, stępały, z pięścią w ustach, by nie krzyknąć, z oczyma dziko wyłupionymi, z strasznie wykrzywioną twarzą: dzikie zwierzę w rozpętaniu dzikich instynktów.

Coś musiałem w sobie zniszczyć, zębami wkąsać się w najtajniejszą głąb mej duszy, głęboko, powoli, coraz głębiej; coś odgryźć, a powoli, powoli, by ból był straszniejszy, dzikszy, okrutniejszy, odgryźć długimi, ostrymi zębami.

Szarpnąłem. Ból, jakby mi ktoś żywe serce z piersi wyrwał.

Teraz byłem prawie wesół. Podałem się z rozkoszą dziwnym majaczeniom.

Wszystkie moje uczucia i myśli rozkołysały się w burzliwy takt jakiejś straszliwie głębokiej, upiornej muzyki z twarzą staromeksykańskiego bóstwa.

Każdy ton był jak kawałek stopionego metalu, co w straszliwym żarze spadał w spektrum mej duszy i tam linię rysował.



Nie słyszałem muzyki, czułem ją tylko dokładnie, jako olbrzymie, nieskończone spektrum, z krzyczącymi, pstrymi liniami.

Ich barwa przypominała mi kolor, jakim był obmalowany lew asyryjski w jakimś muzeum.

Dziwiło mnie tylko, że widziałem tak dokładnie ultrafioletowe promienie, ale nie jako barwę, tylko w kształt fali, odbitej o skały, zdawała się ustawicznie wracać poprzez szeregi napływających bałwanów.

Widziałem muzykę w palących się pożarną łuną, żgających, wielkich płomieniach barw. Z początku czułem coś jak ogromne ognisko gangreny, tak to wszystko chwilami bolało.

To znowu gasła pożoga, a wtedy uczuwałem, że lecę w jakąś otchłań, zaprzepaszczam się, a wtedy chwyciłem rozpacznie naokoło siebie, by się znowu wdrapać w górę.

Tylko tego nie rozumiałem, jak by to coś w mej duszy doszczętnie wyrwać, jak by to zębami uchwycić – tkwiło głęboko, czułem coraz dotkliwiej, a wyrwać to musiałem – to coś, o czym zachowałem niejasne wspomnienie, a przypomnieć sobie nie mogłem, co by to mogło być.

Było zupełnie ciemno; straszna, ciemna, jak czarna kotara gęsta noc, a na szybach tkał i zawodził w sobie skupiony deszcz.

Spektrum w mej duszy rozżarzało się coraz silniej.

Każda kreska dźwiękowa stała się osobnym bólem.

Delikatny, długi rząd z długimi przeźroczytymi palcami i ostrymi szponami.

I każda kreska żgała jak długie, aż do biała rozpalone igły w mój mózg, w regularnych odstępach, a każda wydobywała nowy oddźwięk bólu.

Czasami zdawało się, że igły stały się piszczalkami organowymi, na których w niesłychanych stowudziestkach wygrywało coś straszliwą symfonię mąk, orgiastyczną kadencją brutalnych delirii bólu.

Wrzasnąłem jak zwierzę, potem zacząłem krzyczeć – silniej jeszcze. Musiałem krzyczeć, zdwoiłem natężenie, jakie mnie krzyk ten piekielny kosztował: cieszyłem się z tego; teraz już umyślnie krzyczałem.

Przytomność na chwilę mnie nie opuściła.

Było, jak gdybym przyłożył długie, delikatne obciążki do zgangrenowanego miejsca, którego zębami uchwycić nie mogłem; a teraz ciągnąłem powoli, powoli – o, to była straszliwa rozkosz.

Tak, tak: trzeba było jeszcze raz po raz gwałtownie podrywać, to więcej jeszcze bolało.

Naraz począłem się trząść na całym ciele, fala ultrafioletu poczęła biec coraz gwałtowniej w dzikich bałwanach wstecz, coś rwało mnie w tył, szarpało, przemocą rzucało, jak gdyby mi silną pięścią straszne razy w piersi wydzielano.

Wiedziałem, co to ma znaczyć, ale nie miałem odwagi o tym myśleć – nie powinienem tego wiedzieć i naturalnie nie wiedziałem – nie, nie, nie!

Podskoczyłem: byłem przecież tak wesoły, tańczyłem i gwizdałem jeden długi, przeciągły ton.

Całą mą duszę skierowałem na niego; wsłuchiwałem się w niego, pieściłem, głaskałem, stworzyłem sobie z niego krajobraz, tak miękki jak szeroki płaszcz, utkany z rozkosznych ultrafioletowych promieni; otuliłem się w niego, cały się w nim skryłem; było co prawda trochę smutno, ale to smutek dziecka, kiedy się już wypłacze: tysiąc ocząt figlarnych aniołków poczęły się uśmiechać – chwila, słodka chwila dziecka, gdy się uspokaja.

Było tylko trochę – troszeczkę – zimno.

Ryknąłem w obłędzie.

Schwyciła mnie szalona tęsknota za lodowatymi, trupimi rękoma; wściekła tęsknota i chuć przerażająca, potworna. Szumiała, okrążała mnie apokaliptycznymi skrzydły, a musiałem ją przecież zabić, ubezwładnić albo zahipnotyzować, uspić, pot lał mi się z czoła, zimny, wilgotny pot; miałem to uczucie, jakiego często doznawałem, gdym zimowymi rankami chodził do sali anatomicznej.

Wszystko było w porządku w mej głowie.

W agonii mego przestrawu popadłem w jakiś rodzaj fizjologicznego jasnowidzenia, widziałem krew moją, jak w szalonym pędzie biegła przez żyły, widziałem całą gwałtowną pracę w każdej komórce i z przerażeniem czułem, jak rosło szalenie, bezgranicznie, w wymiarach nie z tego świata.

Rozdzieliłem się; jak kapitan tonącego statku stałem na szczycie stacji kontrolującej mej świadomości i patrzyłem na rozszalałą walkę.

Teraz musiałem się sam do walki wmieszać i instynktownie począłem mówić, bełkotać, bez związku, aby się tylko ogłuszyć.

A z skłębionych, ochryplych dźwięków mej mowy wystyszałem szydzące, dzikie okrzyki:

Hu, hu! Jestem ladaczną Naną, siedzę na Muffacie, jadę i krzyczę:

Hu, hu! Wio, koniku, wio!

I coraz silniej i dokładniej czułem trupie ręce: jak długie kleszcze wysuwały się z jakiejś nory ku mnie, objęły mnie żelaznymi obcęgami i poczęły mną targać, szarpać, rwać – ciało moje to się poddawało, to znowu gwałtownie opierało, wrywałem się, ale nic nie pomagało. Padłem wznak, to mnie znowu coś na nogi stawiało, i tak krok za krokiem, w strasznych podrzutach, podskokach, kurczowych wysiłkach, a w końcu w bezsilnym oporze zatoczyłem się do bocznego pokoju.

W ponurym świetle jarzących się gromnic leżał w trumnie trup kobiety.

Gromnice dogorywały; światło było niespokojne, pryszczalo i drżało, i rzucało dziwne cienie na twarz kobiety.

Przykucnąłem, a w rdzeniach włosów poczułem kłucie jak od szpilek na całej głowie.

Było coś w jej twarzy, co mnie przyciągało i do ziemi przykuwało. Na twarzy, grą światła pocętkowanej jak skóra tygrysa, ujrzałem nagle straszną wizję: szeroko rozdziawiona paszczęka grzechotnika, z dziwnie latającym, długim językiem. Słyszałem dokładnie jadowity syk – a może ja sam syczałem.

Przypadłem do ziemi jak zwierzę na śmierć zranione; chciałem się sam w siebie przepaść, chciałem się pod ziemię skryć – ale oczu oderwać nie mogłem: musiałem patrzeć.

Połączenie pomiędzy trupem a mną było tak silne, że czułem, jak mi potężne galwaniczne strumienie wyżerały oczy, z krtani mej rwały się zwierzęce ryki, w strasznej męce, w potwornych porodach.

Usta moje ułożyły się w dziwny sposób, począłem parskać, wiedziałem, że naśladuję trupa.

To gazy pośmiertne, krzyknęło coś we mnie.

Nie, nie! ona mówi – mówi – mówi – Boże ukrzyżowany – rzeczywiście mówi.

I mówiła.

I w tej samej chwili padłem omdlały na ziemię.

Słyszałem jej głos, płynący ku mnie z nieziemskich oddali.

Siedziałem z nią w jakiejś kawiarni, gdzieś w kącie w przytłumionym świetle.

– Boże, Boże, jak ja Cię kocham. Wszystko, wszystko kocham u Ciebie, Twoje powłóczyście, zmęczone spojrzenia, Twoje wytworne ruchy, Twoje nogi arystokratyczne i Twoje ręce, takie inteligentne, długie i wąskie ręce.

O Twoje usta kocham i Twoje czoło – wszystko, wszystko.

A kiedy grasz, to masz czasami takie wściekłe uderzenia. Rzucasz rękę na klawisze z taką mocą i zaciekłością, jakby w nich tkwiło to wszystko, co w Tobie zamiera.

Tylko włosy zawsze w nieporządku – musisz je szczotkować.

Spojrzała na mnie z figlarnym uśmiechem, ale ja byłem zmęczony, syty i wstręt przegryzał mi duszę.

– Co ci jest? – spytała nagle.

– Nic!

Patrzała na mnie wylęknionymi oczyma i przytuliła się do mnie.

– Kochasz mnie? – pytała i przesuwała lekko swą piękną rękę po mej głowie.

– Może być; nie wiem.

Odsunąłem z wolna moje krzeselko.

Patrzała na mnie z tym samym przerażeniem i przestraczem, z jakim patrzył na mnie mój stary pies, gdym go musiał zabić.

Oparłem głowę na rękach, patrzyłem w szklankę, by nie potrzebować spotykać się z jej oczami.

Widzisz, jeżeli ktoś jest tak zdegenerowany i chory jak ja, to nie wie nigdy, co się z nim dzieje. Stany duszy zmieniają się z przerażającą szybkością,

popadają z jednej krańcowości w drugą. Co teraz miłością, za chwilę przemienia się w obrzydzenie i nienawiść.

Chciałem na nią spojrzeć, ale nie miałem odwagi.

– Ty!

– Co?

Dźwięk jej głosu był w tej chwili zgrzyt pękniętego dzwonu.

– Jesteś przecież rozsądna, nie jesteś dzieckiem, mogę Ci przecież wszystko powiedzieć.

Milczała.

Pamiętasz sonatę Kreutzera Tołstoja? To, co mówi o tym wstręcie i płciowej nienawiści – rozumiesz mnie?

Czułem, jak drżała na całym ciele, wyprężyta się, a potem nagle opadła.

I teraz stałem się brutalnym parobkiem.

Pastwiłem się nad nią z dziką, krzyczącą rozkoszą kata.

– Męcę się, od samego początku się męczyłem. Pamiętasz, jak pierwszą noc pozostałaś u mnie i strasznie zmęczona natychmiast usnęłaś? Wiesz, com wtedy robił? Boże najdroższy – ciało Twoje było mi tak obojętne, tak obojętne – wstałem i zacząłem robić z Tobą eksperymenty snu. Wziąłem

dzbanek wody i począłem ją lać do miednicy. Ciekaw byłem, co będziesz śnić. Lałem coraz silniej, aż się przelękniona obudziłaś. Pytałem Ci się czule, coś śniła i cieszyłem się, że mózg Twój z taką dokładnością odpowiada na podrażnienia zewnętrzne.

Pamiętasz? Śniłaś, że w Twoim mieście rodzinnym wybuchł ogień i ze wszech stron zlatują się ludzie z fasami i kubelkami, by ogień gasić.

Jej spojrzenie czułem teraz cieleśnie na całej skórze – straszne, na śmierć gotowe spojrzenie.

Teraz nadeszła chwila ostatniego ciosu.

– Trudno, nie mogłaś mi dać szczęścia, a teraz, teraz... Słuchaj, wiem, że jestem brutalny, ale nie mogę dłużej żyć z Tobą, stałaś mi się ciężarem...

W tej samej chwili zniknęła za kotarą przy wyjściu.

Opadłem ze sił i patrzałem bezmyślnie w szklankę...

A więc poszła, poszła...

Poczęło widnieć w mej głowie.

Zdjął mnie straszny lęk, przeraźliwy strach; zerwałem się, by biec i szukać ją...

I w tej samej chwili oprzytomniałem, znowu ujrzałem trumnę, wizja przysła.

Na trumnie leżał trup kobiety.



Chwilę szukałem przyczynowego związku między trumną a sceną w kawiarni; na próżno.

Tylko rosnący, pieniący się lęk połączony z straszliwą tęsknotą, pragnącą, dziką tęsknotą za tą, co ot tu martwa leżała.

A martwa twarz mówiła obłąkaną mową gromnicznego, niespokojnego światła i patrzyła na mnie lubieżnymi, przymrużonymi oczyma.

I coraz gwałtowniej rwało się we mnie pożądanie hieny, a w strasznej potędze wyzwalającej się bestii zmógł się mój mózg.

Wiedziałem teraz, że muszę się jej dotknąć, czekałem tylko sankcji mózgu.

I mózg ulitował się nade mną.

Przypomniałem sobie nagle, że podług starego podania odbija i utrwała się na martwej źrenicy ostatnia walka przedśmiertna.

Otóż to to, to, to, co widzieć musiałem, straszną zagadkę życia na dnie martwego oka, piekielną noc poślubną, w której życie z śmiercią się parzy.

Miałem tylko tę jedną myśl, co wybiegła poza mój mózg, ostrym końcem wwierciła się w martwe oko i tam na jego dnie połączyła się z drugim biegunem; połączenie było dokonane. W oczach moich pryskały iskry, trzeszczące, zielone iskry elektrycznego światła.

Druty połączenia spopielatyły się na końcach, skracały się coraz więcej, musiałem się przysuwać.

Coraz bliżej; jak pantera czołgałem się ku trumnie — teraz już stałem tuż, tuż przy niej.

Drżącymi, dyszącymi palcami starałem się podnieść powieki; drżałem i latałem na całym ciele; straszliwy, wykrzywiony uśmiech ohydnej lubieży przeczołgał się po jej twarzy.

A nagle począłem skrzętnie pracować. Podniosłem wreszcie powiekę, ale palce moje zsunęły się po twarzy, błąkały się po niej, zdjął mnie paroksyzm gorączki, pracowałem obcymi rękoma, miałem uczucie, że głowa mi się oderwała i wyleciała za okno, śmiałem się i krzyczałem, a wyrazy moje odbijały się od ściany i zasypywały mnie gradem kamieni — całowałem jej twarz, kąsałem ją, wssałem się w jej ciało i nagle wgryzłem się wściekłymi zębami, z krwawą pianą na ustach w jej pierś.

Szarpałem, gryzłem trupie ciało, straszliwy śmiech, w którym się każdy nerw w konwulsjach bólu szarpał i kurczył, rozpierał mi piersi — a naraz potoczyłem się i padłem wznak.

Stało się coś straszliwego.

Umarła kobieta powstała w trumnie w upiornym majestacie i z szerokim ruchem rąk uderzyła mnie z gwałtowną, przerażającą siłą obydwoma pięściami w piersi.

Odleciałem daleko bez — przytomności.

\*

Zewnątrz stało się wewnątrzem, jawa — snem, — rozkosz obrzydłym jadem,

a ból wstrętną pijawką, co się do serca przypiąła i krew z niego wysysa.

A Ty? Gdzie jesteś? Żyjesz jeszcze? Umarłaś? Nie wiem. W mózgu moim pełno przerw i tam, a pomiędzy pojedynczymi, świadomymi stanami braknie połączenia przyczynowego.

A zresztą – to wszystko drobnostka, rzecz nic nieznacząca.

Teraz jedno mnie tylko obchodzi. Cóż teraz?

Ale rzeczywiście, z całą straszną grozą powagi i pewności śmierci, pytam się: cóż teraz?

A jeżeli Bóg rzeczywiście istnieje? Jeżeli dusza rzeczywiście nieśmiertelna, a w jednym kościele katolickim można naprawdę osiągnąć zbawienie?

Ale brak mi wiary, wiary, wiary.

Wiara w Charcota i w boskie dopuszczenie przy opętaniu. —

Wiara w Kant-Laplace i Darwina, a równocześnie w stworzenie świata w siedmiu dniach. —

Wiara w bóstwo Chrystusa i w bluźnierstwa Straussa lub Renana. —

Wiara w niepokalane poczęcie Maryi Panny i w najpierwotniejsze fakta embriologii. —

Nie! to nie da się połączyć!

Nie ma ratunku!

Wstręt i obrzydzenie...

Gdyby dwa ogniska gangreny wżerały się coraz bliżej ku sobie – moja bezsiła, niewiara i to straszne obrzydzenie ku wszystkiemu i wszystkim, a teraz złączyły się w swym ropiącym się dziele zniszczenia.

Gdyby podziemne źródła, powstałe z ustawicznej ulewy, przesiąkają bezustannie najgłębsze pokłady mej duszy, rozsadzają i kruszą je.

Jak brutalne światło skwarne lata, zatruwają mi pokarm ziemi, w której tkwię, z której siłę moją czerpię, wysuszają i rozsadzają chlorofil we wszystkim, co z tej ziemi bujnym kwieciem wytrysło.

I tak zmieniło złoto swą wartość na miedź, rozprysły wszystkie nadzieje, myśli i uczucia, straciły swoje napięcie, stały się prostymi odruchami; pełen szczęścia i rozkoszy świat rzeczy stał się niepewnym, bezistotnym symbolem, szarą mgłą nachuchaną na szklistą szybę – a Ty, ach Ty stałaś się piekielną córką, szatańską Lilith z głową Sfinksa, bujną grzywą włosów, co ci głęboko w czoło wrastają, i z delikatnymi, szlachetnymi rysami mej matki.

I chwyciłaś mnie w Twe ramiona, spętałaś mnie ciężkimi zwojami Twoich włosów, jedną ręką zerwałaś gwiazdę, że spadła i z sykiem zatoneła w Cichym Oceanie, drugą zdajesz się chwytać krańce ziemskiego globu, by mnie ponieść w kosmiczną nieskończoność, gdzie przestrzeń staje się głupim urojeniem, a czas sam siebie w ogon gryzie, bo się rozpostrzeć nie może.

I objąłem żelaznymi kleszczami Twoją szyję, wssałem się rozpalonymi ustami w Twoją pierś dziewiczą i piję z Twoich żył mleko matczyne z krwią

zmieszane.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie roztrzaskane światy błędzą samotnie i same o siebie się roztrzaskują.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie gęste snopy gwiazdnych promieni w dół spływają, gdyby struny o siebie trącają i z nieskończone cichą, drżącą, gdyby pierze edredonowe, miękką harmonią świat cały wypełniają —

Ponieś na jakiś punkt, gdzie siły przyciągające wszystkich słońc się znoszą, a ja stracę i ciężar, i wagę, i wszystkie stosunki do czasu, przestrzeni i środka —

Och ponieś, ponieś z skrzydły krzyczącymi radosne fanfary, skrzydły, co w dzikiej tęsknocie rwą się ku gwiazdom, ponieś tam, gdzie cała ma wielkość skurczy się w maleńki, głupi atom —

Gdzieś w bezatmosferyczne światy, gdzie kształty moje stopnieją, jak młody śnieg na południowym słońcu, gdzie się z wszechświatem zleję i jak lejąca się lawa meteora w kosmiczny ocean spłynę:

Rwij, szarp, nieś na przekór głupiemu prawu ciężaru i materii —

Ponieś na rozkołysane morze rytmów eteru —

Na jakąś gwiazdę o miliardy lat od ziemi odległą, gdzie mógłbym spocząć, a tysiące stuleci nie dłużej żyć jak jeden moment, a oddalenie od ziemi nie dalej jak ostrze dogmatu o protoplazmie, ostrze, na którym, gdyby na różnie ziemię nasadzę i w słońce rzucę, by się tam z swego kału oczyścić mogła i zbawić w złotym nic słonecznym.

Ale nawet tego nie zdoła — nawet w żarach słońca pozostanie plamą błota.

Tylko nieś, szarp, rzuć poprzez wszystkie krańce, bym sam siebie niszczyć nie potrzebował.

Jak blask światła, połamany przez tysiąc szkieł, odrzucony od tysiąca zwierciadeł, chcę powrócić do pierwotnej idei, z której powstałem.

Jak promień słońca, co padł na błotną ulicę i syty i pijany jej brudnym ciepłem, chcę powrócić do pra-słońca, co mnie tu wysłało, by sobie i ludziom przynieść szczęście i radość, i wielki Pokój...

Tylko nie z powrotem do ziemi jako marny żer dla robactwa, do wstrętnej, ohydnej kopulacji anorganicznych i organicznych pierwiastków, do nowego, piekielnego życia poprzez szereg głupiego rozwoju.

Jakież to straszne!

A jednak — stać się musi.

Boć tak mi stało napisane.

\*

Teraz rozpoczyna się agonia — koniec nadchodzi.

Jakżeż to było?

Leżałem w łóżku; a w tyle głowy czułem jak gwoźdźmi przybitą, nieskończenie

szeroką świadomość, że teraz muszę koniec zrobić.

Było, jakby w głowie mej kołował jakiś poplątany węzeł, wirował coraz silniej, zataczał coraz wściekleszy kręgi w strasznym pragnieniu, by się rozplątać i rozwinąć w długie, delikatne nitki myśli.

A potem naraz jak dzika fala przyptýwu w drganiach konwulsji, a poprzez nią wężykowata linia chorego niepokoju, co się ku górze wiła, coraz gęstsza, czarniejsza, coraz szybsza i niespokojniejsza, aż naraz uczułem jakąś dziką gonitwę, szum, jak gdyby tabun złych duchów powietrze przerywał, i jakiś nadludzki strach śmierci, w którym mózg pęka, pragnie sam przed sobą uciec i, jak popękany pierścień zapadającego się świata, obtańczyć słońce olbrzymimi kręgi w opętanej taranteli.

I znowu cisza.

Cicha, miękka, letnia błogość. Upojona rozkosz, co się kołysała na ciemnoniebieskiej, zwiewnym złotem obszytej toni.

Zgrzyt, piekło, wybuch tysiąca gejzerów.

W głowie rozszalał się obłąkany taniec Wita i gdyby obcą siłą gwałtownie poderwany, stanąłem wyprężony jak w skurczu.

Czułem, że mięśnie twarzy boleśnie się skurczyły, tak że czułem głębokie klucie rozpalonych szpilek, a szeroką męką rozwarte oczy zdawały się z orbit wypływać:

Stałem w rogu pokoju, z rewolwerem przy skroni i dyszałem.

Nie rób tego, nie rób tego! nie, nie! Na Boga nie! tylko tego nie!

Odetchnąłem głęboko:

Boże, jakżeż można się tak przerazić, to przecież nie ja, to czarny paletot, co wisiał w rogu, na ścianie.

Wyciągnąłem się znowu w łóżku, strasznie wyczerpany, objąłem głowę obiema rękoma, znowu siadłem, przycisnąłem dłonie z taką siłą do skroni, że jeszcze ból uczuwam.

Jakieś nieświadome, głupie skojarzenia myśli przewłóczyły się po mej głowie, – owa groźna fala przyływu rozbiła, skropiła się w pojedyncze perły, co się wydłużały, jak gdyby kazano im przeciekać przez jakiś cieniuteńki otwór, widziałem krople w długich sznurach, co się raz po raz urywały – raz – dwa – trzy – cztery... a za każdą razą słyszałem, jak się rozbijały gdzieś w głębi o jakąś szklistą toń.

Jedno tylko rozlewało się błyskawicą poprzez czarną noc spienionych fal myśli:

Nie zrobisz tego!

A myśl ta poczęła łowić i wędki zastawiać w błotnistej sadzawce, wabiła tak długo, aż inna myśl wędkę pochwyciła.

Tak, a potem – potem właśnie to zrobisz!

I obydwie myśli zbliżały się coraz ku sobie, objęły się, siadły jak żmije wyprężone na ogonach, prężyły się coraz wyżej, splotły się – i patrzyły długo



z łepkami w tył wygiętymi na siebie – patrzyły długo, przenikliwie, a potem rozśmiały się cicho ku sobie.

Spełniło się to, co mi było przeznaczonym.

Tak będę stał, tak pistolet przyłożę do skroni i tak, zupełnie tak będę krzyczał i dyszał – nie zrobisz tego! nie zrobisz tego! – a równocześnie jedno pociągnięcie: straszne światło sądu ostatecznego zatańczy mi w oczach – teraz posłyszę huk, gdyby grzmot walącego się łańcucha skał w bezdenne przepaści:

Stało się.

Drżałem na ciele jak osika, serce chciało klatkę piersiową rozbić, a w skroniach biła krew o moje dłonie w dzikich podrywach i szatach.

Niepokój wzrastał, straszliwy lęk rozszarpywał do reszty kłębek mych myśli, rozstrzępiał ich związki i połączenia gdyby nasienny pył jesiennych kwiatów na wszystkie strony, coś mnie wgniatało przemocą w poduszki, kurczyłem i giąłem się, by nie ulec temu pchaniu i nagle zerwałem się i znowu – całkiem z sił opadłem. Wkucnąłem w siebie.

Oczy wlepiłem w podłogę bezmyślny, oszołomiony straszną pustką i nocą.

To tylko wiedziałem, że muszę coś wreszcie załatwić, coś do końca przemyśleć, coś, przed czym miałem śmiertelny strach.

I nagle chwyciłem oburącz krawędź łóżka: na podłodze czołgała się rozwiewna jaśń światła.

Przerażenie było tak okropne, że na chwilę straciłem przytomność.

Kiedym przyszedł do siebie, zrozumiałem, że prawdopodobnie zapalono lampę w domu przeciwległej ulicy.

I rozbiegło się po mnie uczucie nieskończonego ukojenia; byłem prawie wesół.

Ale naraz pomyślałem, że dlatego jestem tak zadowolony, bo ten szeroki promień światła odwrócił i rozproszył moją uwagę, którą przecież na czym innym, na czymś nieskończenie strasznym skupić miałem.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; wiedziałem, że od nowa muszę się tej strasznej męce poddać i ta pewność wżerała się ostrym, trującym językiem w mój mózg.

Teraz siadłem znękany na krawędzi łóżka, pochyliłem głowę zboląłą, ująłem ją w dłonie i myślałem, myślałem.

Uczułem bezmierną litość nad sobą samym. Gorące, wielkie łzy ściekały mi z oczu. Wtedy nie wiedziałem, że płaczę – ach, cóż mnie wtedy to obchodzić mogło.

Nie płakałem łez wyzwolenia, płakałem pogrzebowym śpiewem indyjskiego kacyka, co własny grób optakuje.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem.

Gdym ocknął, uczułem ziębiący lodowaty ból.

Więc stałem w pośrodku pokoju i szukałem czegoś.

Aha! Papierosa.

Zdawało mi się, że wszystko minęło.

Zapaliłem papierosa, ubrałem się, otwarłem okno i stałem długo przy oknie w niezwykłym, majestatycznym spokoju.

Nie myślałem o niczym, wyprężyłem się tylko coraz wyżej, rosłem, potężniałem w straszliwym majestacie mego spokoju i ciszy, w groźnym, ponurym, przemożnym pragnieniu śmierci.

Jakieś dalekie wspomnienie prześlizgło się cichym jaśnieniem przez moją głowę.

Ujrzałem się naraz w kościele wiejskim. Ponury pół-zmrok. Gromnice jarzyły się tępych blaskiem, jak płonące oczy, co na próżno starały się przedrzeć woniejące mgły kadzidła, co z trybularza w szerokich pasmach płynęły ku monstrancji. Wzerały się do połowy w gęste tumany, a potem rozlewały się i syciły mgły kadzideł jasnym złotem, tak jak pierwsze promienie słońca sycą blaskiem opary powstające z dymiących się łąk jesiennych.

Zaraźliwa choroba wyniszczyła połowę ludności i co wieczór zbierał się lud w kościele, rzucał się na krzyż i ryczał, i wył w śmiertelnych potach trwogi i rozpacz:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie”.

A pieśń rwała się dzikim rykiem, co serce wśród bolesnych drgań z ciała

wyszarpował, to znowu w bełkoczących jękach, co wszelkie słowo w krtani dławia, to znowu w stękach i rozpacznych krzykach, że żyły w mózgu pękały – i pieśń przestała być pieśnią, stała się piekielnym pragnieniem życia, olbrzymią lawiną, rozpostartą na nieskończonym obszarze, co się lada chwilę stoczyć miała – stała się chmurą, co już, już się obrywała i cały świat potopem zalać miała.

A w tym cielesnym strasliwym refrenie „Wybaw nas Panie!” jęczały dzwony, ryczały strachem wielkiego sądu organy i zwierzęce rżenie konających, i przerażony krzyk dzieci, – włosy dębem stawały i mózg się mącił, kirem obłędu się zakrywał.

A naraz straszny ryk płaczu, płaczu obłąkanej rozpacz i przeraźliwej grozy – ręce gdyby las szkieletów podrzucały się ku ołtarzowi – lud rzucał się, szalał w konwulsjach płaczu, bił się pięściami w piersi, walił czołem o posadzkę i krzyczał bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A gdy stary siwy kapłan objął ołtarz obiema rękoma, kiedy straszny kurcz płaczu rzucał go na wszystkie strony, kiedy on, który z pogardą patrzył na oprawców, co go w powstaniu żywcem zakopać chcieli, jęczał i bełkotał ku Bogu w obłąkanym śmiechu – wtedy naród oszalał.

Słyszę tylko dziki ryk, szatański skowyt, jakby się całe piekło rozpętało.

Zdjęła mnie straszna groza przed tą bolesną, przerażającą chucią ku życiu, groza przed tym konwulsyjnym strachem śmierci i bezmyślnie, w febrycznych drganiach powtarzałem bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A ponad ludem tronował anioł śmierci z błędnym uśmiechem na ustach, straszny i okrutny, i znaczył tych, co umrzeć mieli, swym płomienistym mieczem.

Czyż i ja byłem pomiędzy nimi?

A z mej krtani rwie się przemocą, bolesne, żarliwe, ostatnią iskrą życia drgające:

Wybaw nas Panie!

Pomnę: znowu przebłyskujące wspomnienia:

„Patrzę na niebo, a niebo ciche, patrzę na ziemię, a ziemia śpi”...

Śpi ziemia, niebo tak ciche i tak głębokie, i tak gwiazdami obsiane...

Niewypowiedziana cisza ujęła me serce w swe chłodne dłonie – cisza grobów i szerokich, zadumanych smętarzy.

Była chwila, kiedy niewidzialne ręce pomazańca Bożego wyjęły Przenajświętszy Sakrament z Tabernaculum wszechnatury i pokazały go światu całemu. A świat padł na oblicze swoje w grozie i strachu: pełen oczekiwania, drżący i świętą czcią przejęty czuł, że nadchodzi tajemna chwila, w której chleb w ciało, a wino w krew się przemieni.

Teraz powinny zadzwonić dzwonki w długich odstępach po trzykroć razy,

teraz powinien rozbiec się żarliwy szmer przygłuszonego nabożeństwa, co serca ludu rozpiera, drzenie cudu przeniknąć świat cały, jak gdyby miliony w piersi się uderzały:

Sanctus, Sanctus, Sanctus!

I ziemia cicha, niebo ziejże strumienie srebrnego światła gwiazd i wszystko spoczywa w kornej, głuchej ciszy, bo Ja Pan, który wszystko z siebie wyłonił – Ja Pomazaniec, Ja Arcypasterz przyjmuję ostatnią, świętą komunię.

Głęboka błogość, niebieska błogość świtów i przeczuć przyszłego życia rozlała się świętym strumieniem w mych żyłach; czułem, że skrzydła mi wyrastają, że się rozpościerają, gdyby dwa olbrzymie żagle, że rwą się do lotu; – pienie oswobodzenia i tęsknoty za wieczną przyszłością wytrysnęło z mej piersi – byłem szczęśliwy, jak słońce południa, gdy się morzem światła na niebieskie morze oceanu położy i doń się przytuli – a otóż nagle schwycił mnie obłąd w swe upiorne szpony – obłąd, z którym tak długo walczyłem.

Noc dławiała, dusiła dzień w śmiertelnych, miażdżących uściskach, krwawą czerwień zmartwychpowstania zalewała szatańska czerń potępienia.

Strach i groza prężą się, gdyby dwa węże w sól przemienione, pnące się z odętymi cielskimi ku straszliwej Sodomie nieba.

W oczach moich prysnął grad deszczu siarczanego.

Szeroka, płomienna bruzda rozdarła niebo na dwoje, jakieś słońce zagasto, spurpurowiało jak czarna, zgangrenowana rana – drży, trzęsie, obrywa się, spada i rwie za sobą cały łańcuch gwiazd.

A z rozdartego nieba widzę w obłokach siarki i ognistej lawy rozpustną twarz z przymkniętymi, mrugającymi oczyma; usta otwarte jak w krzyku najwyższej lubieży, a włosy rozwarkoczone poprzez niebo jak wściekłe komety ogniste.

—

A z rozdartego nieba wydzierają się kobiece ręce, straszne, bezcielesne ręce, co ku mnie się wyciągają. —

I z rozdartego nieba wyrasta apokaliptyczna nierządnicą — okrąża mnie w szerokich kołach — już chwyta, obejmuje mnie; wrywam się, padam na ziemię, walczę, szarpię się z nią — piana krwi burzy się na moich ustach:

Astarte!

Przyszła po swoją ofiarę:

Ta, która się upaja najstraszliwszymi męki. —

Ta, co kazała Onanowi szukać nowej orgii płciowej, by go oddać na pastwę strasznej śmierci ukamienowania. —

Ta, co wierny lud poprowadziła do wyzwolenia świętego grobu, by mu za nagrodę owieńczyć czoło męczenniczą koroną syfilitycznych wrzodów. —

Ta, co wysysa samicę mężowi z krwi i rzuca go w sodomicznej chuci na męża

—

Ta, która silniejszą jest od porządku rzeczy, bo przewraca wszystkie instynkty i maże swe oblicze kazirodczym nasieniem, —

Astarte, Szatanie!

Na moich ustach czuję Twój lodowaty, z rozpusty spłodzony pocałunek śmierci —

Tak! jestem śmierci poświęcony.

Duszo, Ty moja silna, wielka duszo, coś mi mą płeć pożarła, gdzież jesteś teraz?

Mózgu, ty biedny, chory mózgu, coś się miał stać moim bogiem, moim ojcem, gdzie żeś się ukrył, teraz, kiedy na Golgotę i krzyż idę, w jakąś norę się wczłogał?

Jak czarna głucha plama wisi słońce przylepione na niebie...

Eli, eli, lama sabachthani...

\*

Przez okna moje wpływa strumień żądnego, parnego gorąca, płodzącego szału nocy, rozpustnego krzyku mężczyzn, co na ulicach samiczki nawołują.

Widzę całą naturę jako apokaliptyczną apoteozę wiecznie drgającego phalosa, co w brutalnej, bezgranicznej rozrzutności leje nasienne strumienie na świat cały.

Na mym biurku wazon z kwiatami, których całe życie rozgrywa się w płci; z bezwstydną niewinnością pną się ku zapładniającemu nasieniu.



Czuję lubieżne drgania tworzenia, słyszę bełkoczące szepty miłosne ziemi – hermaphrodyty, świętej, samczej dziewicy, otulonej w ślubne zwoje nocy.

A jak bogato obsiana złotymi plennikami. Jak ciemna jest i głęboka!

Ale ponad tym bezwstydem chuci i żądz, ponad tą potworną apokalipsą płciowości, tą szatańską ewangelią zmysłów –

wysoko ponad zapładnianiem i rodzeniem, oksydacją i redukcją zatronował mój wyniosły, głęboki, królewski spokój bezpłodny.

Natura się wyczerpuje; już oszczędza. Już nie może tak się rozrzucać jak ongi, kiedy się jeszcze żadne oko ludzkie nie rozkoszowało obłąkańczym przepychem flory z okresu węgla kamiennego, fauny czasu kredowego; teraz pracuje, jak to biedne robactwo ludzkie – po ludzku, chciwie i ostrożnie według prawa najmniejszego zużycia sił.

Nie tworzy już ichtiozaurów ani ichtiodontów, nie tworzy ani stygmarii ani lepidodendronów. Biedne, śmieszne zwierzęta, co w trzodzie żyją – to cały jej płód; wyczerpuje się w mikrokosmie, w bakteriach na to tylko, by stoczyły i pożarły jej marny twór – a z ziemi pędzi w górę chore kwiaty, w które na uwiad starczy chora ziemia wpluwa truciznę.

Ponad tą nędzą, nad tą oszczędnością i skąpstwem, ponad tą całą filisterską biedotą, panuje wolna, nieokiełznana, rozrzutna, jak obłoki gazu rozlewna,

moja wielka, pańska, dusza w całej potędze swej niepłodności.

I dlatego zginać musi, bo jest za wielka i święta, i królewska, aby się łączyć z nędzną plebejuszowską płcią i płodzić dzieci – znowuż według prawa

najmniejszego wysiłku.

Ponad całym światem, ponad tą śmieszoną gonitwą za nową orgią chuci, by się w coraz to nowych formach rozwoju objawić —

ponad ohydny okrucieństwem płci, co człowieka z gęsią skojarza —

ponad zbrodniczą niesumiennością Boga-Natury, co ludzi tworzy, na to by w rozpaczonym obłędzie zawodzili opętany taniec bytu —

ponad tym wszystkim panuje moja wolna, bezpłodna dusza z swym spokojem bezpoczątkowej wieczności.

Ona, święty zwyciężony zwycięzca —

Ona, wszystko obejmująca, początek i koniec.

Ona, najwyższy, najpotężniejszy wyraz mego rodu.

Ona, co umrzeć musi, bo sama tego pragnie, bo nie może żyć w wstręcie i ohydzie, bo tęskni za czystością wyzwolenia.

I idę.

A ty bądź mi zdrowa.

Zniknęłaś z mego mózgu, wyrwałem Cię z mego serca. —

Miałaś być mistyczną syntezą, w której pan i chłop we mnie mieli spocząć

w bratnim uścisku, miałaś zebrać i skupić moje najtajniejsze siły płciowe  
i spotęgować je w pragnieniu nowej przyszłości, —

miałaś zlepić to, co od początku było we mnie złamane, żelazny rdzeń wbić  
w krzyż pacierzowy mego bytu, —

najdelikatniejsze struny miałaś we mnie potrącać, w których może drżał  
kawałek duszy w ślubnym uścisku z moją płcią.

Tego wszystkiego nie zdołałaś i dusza ma Cię odtrąciła.

Ale teraz: w tej wielkiej chwili, w której się może z Tobą połączę i w jedno  
zleję,

teraz, ukochana moja, położę głowę na Twym łonie, będę całował Twoje  
długie, piękne ręce — u Twych stóp rzucam krwawy ciężar mego panowania  
ponad światem i wszystkim jego płodem —

teraz daję Ci moją duszę z powrotem.

Ty moja, ukochana, oblubienico śmierci, Ty ukochana całą bezgraniczną  
głębią mej pustki.

Słyszę coś, co jest głębokie jak świat, ciemne jak noc, a panuje ponad  
wszelkim bytem.

To tęsknota za tą syntezą, której rozkosze wywyższyły mnie nad wszystkich  
ludzi — syntezą, którą na próżno przez Ciebie osiągnąć pragnąłem.

I weź, weź moją duszę, niech się rozleje w kształtach Twego ducha i powróci razem do praidei, z której Ja Ciebie stworzyłem.

Zimny dreszcz poranny czołga się po moim ciele:

Nadszedł już mój czas.

A gdy wzejdzie młody, czysty, święty dzień ponad ślubnym łóżem natury, ten biały młody dzień, który Ja, władca bytu, Ja, w którym i przez którego wszystko istnieje – wtedy mnie już nie będzie.

Wsteczna metamorfoza może się rozpocząć...

Zielone Świątki [18]90.

# Informacje o licencjach

Utwór „Requiem aeternam” autorstwa Stanisława Przybyszewskiego jest własnością publiczną, ponieważ prawa majątkowe do niego wygasły.

E-book „Stanisław Przybyszewski – Requiem aeternam” jako opracowanie informatyczne jest udostępniany przez Exerim.pl na licencji [Creative Commons 4.0: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne, na tych samych warunkach](#).

W niniejszym opracowaniu wykorzystano:

1. Na okładce: zdjęcie autorstwa Mirosława Kukli, udostępnione przez autora na potrzeby opracowania.
2. W tekście: czcionkę „Lato” autorstwa Łukasza Dziejica, udostępnianą na licencji [SIL Open Font License, Version 1.1](#).

# Strona redakcyjna

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła  
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki [Exerim.pl](http://exerim.pl).



Darmowe e-booki: <http://exerim.pl/ebook/>.